

Delectatio morosa [FELIETON]

Obowiązkiem polskiej myśli nie jest grzeszne epatowanie mrocznymi wizjami, ale intelektualna praca nad kształtem czynu, jaki my-Polacy winniśmy przedsięwziąć, aby na powrót (jak za czasów wielkiej „Solidarności”) znów samemu kształtować nasz przyszły los – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

To tylko streszczenie wizji, która w całości i w szczegółach jest na tyle przeraźliwa, iż nie dałbym rady oddać tu całej jej grozy. Kanwą jest oczywiście ciągle królująca zaraza, która już definitywnie przesądziła, iż z globalnego kryzysu to Chiny wyłaniają się jako hegemon i zwycięzca. Tak więc „mieszanka konfucjanizmu i komunizmu, uzbrojona w nowe technologie” ma być dla naszego wieku tym, czym był protestantyzm dla trzech poprzednich stuleci: ideowym gruntem dobrobytu, politycznej potęgi i ekspansji. Po drugiej stronie mamy definitywny („na dłużej, być może na zawsze”) zmierzch znaczenia Ameryki, która nawet jeśli miałaby pozostać mocarstwem, to staje się dla świata pozbawionym wpływu mocarstwem egzotycznym, gdyż sama stojąc wewnętrznym nieładem, nie budzi już nigdzie ani zachwyty, ani respektu, ani strachu. Zresztą „pokolenie covidu” – które za chwilę zapanuje nad światem – i tak ma już za nic amerykański ideał wolności, a na dodatek odrzuca irracjonalny mit Zachodu, który właśnie utracił wszelki sens. Na naszym małym Półwyspie Europejskim wszystko to oznacza duchowo-polityczną rewolucją, której istotą jest zerwanie z mitycznym Zachodem i budowa europejskiej „strategicznej autonomii”. Jednak żadnych złudzeń co do Europy! Pod płaszczykiem zarazy rodzi

się tu nowy porządek, oparty o dominację silniejszych, centralne sterowanie finansami oraz ideologiczną przemoc. Brrr... trudno zaiste nie zwątpić, czy nie lepiej by już od razu znaleźć się pod władzą postępowego techno-konfucjo-komunizmu.

*Politycy do znudzenia
powtarzają, że „nic już nie
będzie takie samo”, redaktorzy
w pośpiechu wydają numery
czasopism pod jednako
brzmącym nagłówkiem
(„świat po zarazie”),
filozofowie na kolanie tworzą
swoje wersje utopii lub
część antyutopii*

Wizja jak wizja.
Wieszczy duch córki
Priama wcielił się u
nas w cielesną
powłokę profesora
Marka A.
Cichockiego. I nie
jest to znów aż tak
dziwne, że w co
bardziej
przenikliwych
umysłach zaraza
wyzwała
intelektualną

potrzebę skonstruowania całościowego modelu przyszłości. Co prawda nie umiem sobie ciągle wytłumaczyć, czemu sam fakt zapanowania zarazy w naszej nowoczesnej epoce wyzwolił tak powszechną, a tak naiwną wiarę, iż teraz już wszystko musi być inaczej niżli było dotąd. Politycy do znudzenia powtarzają, że „nic już nie będzie takie samo”, redaktorzy w pośpiechu wydają numery czasopism pod jednako brzmącym nagłówkiem („świat po zarazie”), filozofowie na kolanie tworzą swoje wersje utopii (jak nowy komunizm Žižka), lub części antyutopii (jak apokalipsa Agambena, a ostatnio niestety także Chantal Delsol, którą ceniałem dotąd za myślową roztropność). Z każdą z tych wizji dość łatwo wejść w spór na poziomie twardych faktów, albowiem z samej istoty rzeczy są one obarczone błędem „pars pro toto”. To znaczy,

że zdarzenia prawdziwe, a czasem nawet realnie groźne, podnoszą do rangi jakichś tajemnych „praw historii”, albo przynajmniej „nieuchronnych ponadludzkich trendów”, wobec których pozostaje nam stanąć w trwodze i bezsilności, wynikającej ze zrozumienia w końcu tego, w jakim kierunku „naprawdę” podąża nasz świat.

W nowym wspaniałym świecie Cichockiego Polska nieuchronnie znów znajduje się w „strefie zgniotu”. Jej zamiłowanie do wolności jest już tylko rezyduum jakiejś starej, przedcovidowej epoki, więc z czasem będzie coraz bardziej komiczne, albo irytujące. Jej wiara w Amerykę, jako źródło porządku światowego, przepoczwarza się w polityczny zabobon, wzbudzający litość oświeconych. A jej spontaniczne pragnienie udziału w jedności Europy wiedzie tylko do coraz liczniejszych upokorzeń i kar wychowawczych, które trzeba będzie przyjmować w infantylnym poczuciu, iż to „dla naszego dobra”. Pointą wizji Cichockiego jest bowiem to, iż „Polska znalazła się w sytuacji krytycznej”, ale nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Żeby się ratować musiałaby „zrewidować założenia” swojej polityki, ale wiadomo, że nie jest do tego zdolna. Przekonanie typowe dla intelektualisty wierzącego, iż to on jako pierwszy złapał ducha dziejów za poły jego płaszcz, ale w swojej ojczyźnie skazany jest przez to na zupełne niezrozumienie.

Oczywiście świadom jestem tego, na czym polega klątwa Kasandry: jej mroczne wizje się sprawdzają, albowiem nikomu nie jest dane wcześniej w nie uwierzyć. W końcu cały urok historii polega na tym, że mogą się w niej dziać rzeczy mroczniejsze nawet od najmroczniejszych wizji. Można by się więc umówić, że wizja Cichockiego nie jest jakąś wyważoną prognozą, ale swoistym „najczarniejszym scenariuszem”, nad którym na wszelki wypadek winno dziś pracować z dziesięć najlepszych polskich think-tanków. W polityce wizje zagrożeń

Zarówno opowieść o jeszcze jednym „zmierzchu Zachodu”, jak i przypowiadka o polskiej wieczystej niemożności – są niczym innym, jak intelektualnymi wariacjami na motywach dobrze znanych w naszej kulturze co najmniej od półtora stulecia

konstruuje się sensownie tylko po to, aby szukać na nie mocnych, wielowariantowych remediów. I tu tkwi właśnie istota mojej pretensji do współczesnej polskiej Kasandry. Opowiada ona bowiem o rychłej katastrofie naszego świata i toporze już

zawieszonym nad polskimi głowami, niczym o jakiejś „wiedzy radosnej”, będącej czymś na kształt objawienia prawdy. A na dodatek czerpie grzeszną myślową satysfakcję zarówno z wieszczona „upadku mitu Zachodu”, jak i zwłaszcza z konstatowania nieuchronności polskiej kolejnej historycznej klęski.

Ten okropny grzech – to „delectatio morosa”, czyli długotrwałe ukierunkowywanie rozumu na zło, aż do perwersyjnej chwili, w której objawienie jego nieuchronności zaczyna dawać rozumowi osobliwą satysfakcję. Jako antidotum na ów ciężki narodowy grzech zalecałbym uporczywą lekturę Brzozowskiego, albo i nawet młodzieńcze, nie całkiem dojrzałe przemyślenia Trzebińskiego. Ponad wiek temu, w sławnej polemice z „żeromszczyzną” Brzozowski gromił teksty „Popiołów” i „Dumy o Hetmanie”, wykazując, iż: „losy Polski dokonywają się tam w Polakach, ale Polacy ich nie tworzą”, albowiem „czyn dla Żeromskiego jest psychiczną niemożliwością”. Zarówno opowieść o jeszcze jednym „zmierzchu Zachodu”, jak i przypowiadka o

polskiej wieczystej niemożności – są niczym innym, jak intelektualnymi wariacjami na motywach dobrze znanych w naszej kulturze co najmniej od półtora stulecia. A jeśli tkwi w nich dziś naprawdę jakieś zarzewie realnego niebezpieczeństwa dla Polski, to obowiązkiem polskiej myśli nie jest grzeszne epatowanie mrocznymi wizjami, ale intelektualna praca nad kształtem czynu, jaki my-Polacy winniśmy przedsięwziąć, aby na powrót (jak za czasów wielkiej „Solidarności”) znów samemu kształtować nasz przyszły los.

[Kanwą felietonu jest esej Marka A. Cichockiego pt. „Mocarstwo bez powabu”, zamieszczony w *Plusie Minusie* nr 45/2020]

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”